

CHAIM ZYLBERKLANG ur. 1921; Żółkiewka



Tytuł fragmentu relacji	Losy podczas okupacji
Zakres terytorialny i czasowy	Żółkiewka; II wojna światowa
Słowa kluczowe	Losy podczas okupacji

Losy podczas okupacji

Było to w poniedziałek, w dzień targowy, koledzy umówili furmankę, którą mieliśmy wyjeżdżać. Z pięcioma żydowskimi kolegami pojechaliśmy furmanką do Izbicy, gdzie zanocowaliśmy, a potem dalej, przez Zamość, Tomaszów i pod Bełżcem we młynie czekaliśmy na przewodnika. [...] Po północy przeszliśmy przez tory kolejowe Bełżec-Lwów. Na skraju lasu była granica niemiecko-rosyjska. [...] Potem sami doszliśmy do Lubyczy Królewskiej, [...] a następnie wynajętą furmanką pojechaliśmy do Rawy Ruskiej. Działał tam komitet żydowski, który pomógł nam w kupnie biletów do Lwowa. [...] Znalazłem się we Lwowie przepelnionym uciekinierami bez pieniędzy i żywności. [...] Chodzę po ulicach, aż tu słyszę wołanie: „Chaim, Chaim!” Poznałem, że woła za mną brat Moszek i siostra Szyprynca. Oni stali przed kioskiem w kolejce po papierosy, a potem na czarnym rynku nimi handlowali i z tego się utrzymywali. [...] Razem dotrwaliśmy we Lwowie do stycznia 1940 roku. We Lwowie było dużo uciekinierów, nie było gdzie spać i co jeść, a milicja i NKWD przynaglali nas abyśmy opuścili miasto i pojechali na robotę za Ural. Zgodziliśmy się i w styczniu 1940 roku dali nam tymczasowe paszporty. [...] Nie pamiętam ile dni nas więzili, aż dojechaliśmy za Ural, do Świerdłowska, obecnie Jekatierynburga. Stamtąd 50 km. w kierunku Czelabińska, a z niego na stację Siewiersk. Tam położona była fabryka: „Siewierski Metalurgiczny Zawod”, w której mieliśmy pracować. Wyjechali po nas saniami dobrzy Rosjanie z Urals. Przywieźli nam futra, buty walonki, zawieźli nas do ciepłych baraków i na okres 2 tygodni dali nam urlop. [...] Oni po raz pierwszy w życiu zobaczyli ludzi spoza granic ZSRR, ich najlepszego na świecie ustroju. Bardzo dużo Rosjan przychodziło nas zobaczyć tylko dlatego, że nigdy nie widzieli cudzoziemców i byli ciekawi jak oni wyglądają. [...] Ja – chłopak z Żółkiewki, nigdy w życiu nie miałem kontaktu z maszynami, bardzo mi się podobała tokarnia, więc zgłosiłem się do działu mechanicznego, do nauki na tokarza. Trafiłem na bardzo dobrego majstra, który uczył mnie tego zawodu i dzielił się ze mną jedzeniem. [...] W maju 1940 roku otrzymałem list z domu, napisany po żydowski, podpisany przez ojca, w którym informował mnie, że u nich wszystko jest normalnie, tylko szkoda, że nie jesteśmy razem. Prosił, abym przyjechał, bo nie ma kto pomagać mu w pracy. Nigdy tak długo nie byłem poza domem, i choć Rosjanie byli dla nas dobrzy, tęsknota wprost mnie wypychała z tych zimnych stron. Chcąc spotkać się z rodziną, wpadłem na pomysł, że poproszę kierownictwo fabryki o urlop. Dyrekcja urlopu mi udzieliła, sądząc, że mam na myśli rodzinę pozostawioną na terenach zachodniej Ukrainy. Moi przełożeni nie przypuszczali, że mam zamiar przedostać się pod okupację niemiecką. [...] W

drogę wyruszyłem z kolegą – Abramem Gegonerem pochodzącym z Łodzi. Żaden z nas wówczas nie był w stanie sobie wyobrazić, co Niemcy zrobią z Żydami w 1942 roku. Nie mieliśmy pojęcia, że Hitler szykuje mord milionów ludzi. Wiedząc to, nigdy nie zdecydowalibyśmy się na powrót do naszych domów znajdujących się pod okupacją niemiecką. Podróż do Moskwy zajęła nam kilka dni. [...] Gdy wyszliśmy na miasto, zaraz dołączyli do nas tacy jak my, bezdomni chłopcy i razem poszliśmy na Plac Czerwony zobaczyć Mauzoleum Lenina. Potem zwiedzaliśmy Moskwę. Po pewnym czasie podeszli do nas milicjanci mówiąc: „Chłopcy, wy już widzieli całą Moskwę, możecie już jechać, my was dobrze obserwowaliśmy”. Kupiliśmy bilety do Kijowa i pojechaliśmy. Tam spotkaliśmy bardzo dużo ludzi podobnych do nas, którzy chcieli wrócić do Polski, na stronę Niemiecką. Spaliśmy na starym dworcu, w pobliżu rzeki Dniepr [...]. Byłem w Kijowie 12 dni i ani NKWD ani milicja nas nie prześladowały. Tylko raz przyszli i powiedzieli, że jest podstawiony pociąg i proszą, żebyśmy wsiedli do wagonów. Powieźli nas do starej polskiej granicy, do Kowla. Tam też spotkałem wielu znajomych z Żółkiewki. Pierwszymi chętnymi do powrotu byli głównie najzagorzalsi komuniści, którzy teraz zobaczyli na własne oczy jak wygląda sowiecka rzeczywistość. W Kowlu znajdowała się niemiecka komisja do spraw uchodźców, która udzielała pozwolenia na powrót do Generalnej Guberni Niemcom, Polakom i Ukraińcom. Żydom natomiast takiego prawa odmawiała. Niektórzy Niemcy wprost nam mówili: po co wy chcecie jechać, my was i tak zabijemy. Zostało to jednak potraktowane jako żart. Pomimo oświadczeń niemieckich, wszyscy czekaliśmy z nadzieją na decyzję komisji. W tym czasie zaczęła się wokół nas kręcić sowiecka milicja, która proponowała nam, żebyśmy przyjęli sowieckie obywatelstwo i odjechali na tereny oddalone o 100 km. od granicy. Obiecywali, że jeśli tak zrobimy, to dadzą nam paszporty na 5 lat. Nikt jednak nie wyraził na to ochoty. Niemiecka komisja skończyła swoją działalność i wyjechała za Bug. Żaden Żyd nie uzyskał od Niemców zgody na powrót. Wielu ludzi było załamanych. Nastroje te wykorzystała władza sowiecka. Pewnego dnia NKWD i straż graniczna wywiesiły na murach plakaty z wezwaniem, by wszyscy, którzy chcą wrócić do Polski z Bug, zarejestrowali się. Stałem długo w kolejce, aż spisali moje personalia i adres bożnicy, w której nocowałem. Szczęśliwy, że mimo wszystko wrócę do rodziny, czekałem na datę wyjazdu. O pierwszej w nocy budzą mnie i wołają: „Dawajcie, podmimajties, wasz pasport”. Wręczyłem im mój paszport, który otrzymałem we Lwowie. Było to w piątek, 28 czerwca 1940 roku, w dniu wejścia Niemców do Paryża. W taki sposób zostałem aresztowany. O drugiej w nocy wsadzili mnie do karetki więziennej, potem do dużej piwnicy, a tam już siedzieli ci sami urzędnicy, którzy przed kilkoma dniami mnie rejestrowali. [...] Milicjant zaprowadził mnie do szkoły, w której przetrzymywano wielu aresztowanych. W tak podstępny sposób zostałem aresztowany za to, że chciałem jechać do domu. Rano przyszedł fryzjer i ostrzygł nasze głowy. Zostałem sfotografowany i zdjęcie naklejono na akta oraz oznakowano mnie numerem więziennym [...], a na koniec pobrali odciski palców. Na następny dzień przyszedł rosyjski śledczy i wyjął bardzo dużą ankietę z pytaniami. Miałem wówczas 18 lat. Pytano gdzie się urodziłem, dlaczego przyjechałem do Rosji, dlaczego chciałem wrócić do Niemców i dużo podobnych pytań, których już nie pamiętam. [...] Na podstawie tych protokołów, zaoczny sąd skazał mnie jako „element społecznie niebezpieczny” na trzy lata przymusowej pracy w łagrach z artykułu 58. Gdyby nie fakt, że zostałem potraktowany jako młodociany, z pewnością dostałbym wyrok o wiele wyższy. Wyrok ten przysłano do łagru w grudniu 1940 roku. Gdy już wszystkie dokumenty więźniów były skompletowane, jednej nocy zorganizowano duży pociąg, zamknięto w oknach kraty i drzwi, a NKWD pilnowało nas przez całą drogę. [...] Było nas z Kowla, Łucka i Równego, ze 2 tysiące ludzi samotnych, z czego 90 % to Żydzi, a 10 % to Polacy i Ukraińcy. Wywieziono nas do Kotłasu. W duchocie, bez wody, w zamkniętych wagonach wieźli nas 12 dni. [...] Potem wieźli nad barką przez 3 dni po rzece Dźwinie, a następnie ciężarowymi samochodami w głąb tajgi. Cały czas byliśmy pilnowani przez uzbrojonych strażników z psami. [...] Było nam bardzo ciężko to znosić, bo nie popełniliśmy żadnego przestępstwa, a tak się z nami obchodzili. Łagier, do którego nas

prowadzono nazywał się Uchta. Po przybyciu na miejsce spaliśmy pod gołym niebem. Po jakimś czasie zrobiliśmy dla siebie szałas z gałęzi. Ścinałiśmy drzewa i budowaliśmy drogę. Gdy droga była już zbudowana, ciężarowymi samochodami przywieziono taczki, łopaty i kilofy, abyśmy budowali nasypy kolejowe dla pociągów, których przeznaczenie i trasa okryte były tajemnicą, jak wszystko w ZSRR. [...] Zbliżała się jesień, więc poza pracą przy nasypie kolejowym, budowaliśmy ziemianki dla siebie. Praca była dobrze zorganizowana. Pilnowali brygadierzy i normowszczyki, którzy mierzyli ile każdy wykopał ziemi i usypał nasypu. Kto wykonał normę, to dostawał lepsze jedzenie. Jak nie wykonał normy, to dostawał mniej jedzenia. Nie obchodziło ich, czy więzień jest w stanie normę wykonać. Wielu ludzi, zwłaszcza starych i chorych, nie dawało rady wykonać ustalonego limitu pracy. Tam gdzie pracowaliśmy byli już inni więźniowie, ale nie wolno nam było z nimi rozmawiać. Przez cały czas byliśmy pilnowani przez konwojentów z karabinami. Gdy konwojent nie widział, to ukradkiem pytaliśmy ich: kim są, od jakiego czasu są w tajdze i za co ich zesłali. [...] Mówili nam, że tu są różni więźniowie, jedni za złodziejstwa, zabójstwa, a także urzędnicy, którzy kradli państwowe pieniądze. Najwięcej było takich, co siedzieli za politykę oraz niewinnych ludzi, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa. Większość z nich nie wiedziała nawet za co ich skazano. Wielu było ofiarami zawiści lub donosów. Wystarczyło, gdy jakiś sąsiad poszedł do NKWD i doniósł, że ten a ten mówił coś przeciw obecnej władzy, to zaraz go w nocy aresztowali i nawet rodzina nie wiedziała gdzie on się znajduje. Gdy mówiliśmy, że dostaliśmy 3 lub 5 lat, śmiali się, że to dziecinny wyrok. Twierdzili, że dostaniemy później dodatkowe wyroki, bo stąd jeszcze nikt nie wrócił do domu. Było wielu takich co w to uwierzyli i popadli w stan apatii. Nie chcieli pracować, mało jedli, zapadali na różne choroby i umierali. Ci, którzy temu nie uwierzyli, pracowali, dostawali znośne jedzenie, wytrwali do wyzwolenia i zostali ocaleni. Przywieziono razem ze mną do łagru pochodzących z Żółkiewki Luzera Blainberga i jego brata Abrama, Motela Branta, Mosze Gliksmana i Mosze Erlicha, który zmarł w łagrze an skorbut – cyngę. [...] Umarł w zimie i nie byliśmy w stanie wykopać dla niego grobu. Paliliśmy ogień, żeby rozmrozić ziemię, ale ona zamarzała w czasie naszej pracy, a mrozy dochodziły tam do 45 stopni. Pochowaliśmy go w płytkim grobie i przykryliśmy gałęziami. Drugi z moich przyjaciół – Mosze Gliksman – zwariował i oddali go do szpitala w mieście Kniasz-Past. „Osiągnięciem” sowieckiego socjalizmu była duża umieralność w łagrach, w większości na skutek braku witamin w pożywieniu. Były dwa rodzaje skorbutu – jeden powodujący opuchliznę i wypadnięcie zębów, a drugim były owrzodzenia i nie gojące się rany. Ja chorowałem na tę drugą odmianę cyngi. Wycieńczenie organizmu było przyczyną chorób i dużo ludzi umierało. Doszło do tego, że NKWD przysłało komisję, żeby ustalić przyczyny umieralności. Byłem badany przez tę komisję, która uznała mój rodzaj choroby za ciężki przypadek i zaleciła zwiększenie moich racji żywnościowych oraz skierowała mnie do lżejszej pracy.[...] Spod śniegu wydobywałem czarne jagody, których jedzenie trochę mi pomagało w mojej chorobie. Piłem też wodę, w której były moczone sosonowe igły. [...] Tak doczekałem się wiosny 1941 roku. Byłem nadal chory na cyngę i nie mogłem ciężko pracować, więc dostawałem mniej jedzenia. Nie mogłem wyrabiać normy, nie mogłem nawet stać na nogach, lecz to nie obchodziło nikogo, bo takich jak ja było bardzo dużo. Pozostało mi jeszcze półtora roku do końca wyroku. Gdy już nie było szansy na wyjście z tej sytuacji, ratunkiem, nie tylko dla mnie, okazał się układ Sikorski – Majski. Wielka szkoda, że generał zginął w katastrofie lotniczej w Gibraltarze. On uratował dziesiątki tysięcy polskich obywateli z różnych miejsc ich sowieckiej niewoli, w tym też wielu żołnierzy i oficerów polskich będących w Sybirze. We wrześniu 1941 roku, w niedzielę ogłoszono aby wszyscy wyszli na plac. Przyjechała komisja NKWD i pytają kto chce wymienić buty, ubrania na nowe. Uważaliśmy, że stał się jakiś cud. Za kilka dni pojawiła się ta sama komisja i mówi: „Słuchajcie, 22 czerwca wybuchła wojna niemiecko-radziecka i my Niemcom zniszczyliśmy tyle a tyle tanków, samolotów i innego sprzętu”. Przez tyle miesięcy my nic nie wiedzieliśmy o wojnie. Dalej powiedzieli, że nasz generał Sikorski podpisał umowę z z ich rządem, w której nakazano żeby udzielić amnestii

wszystkim obywatelom polskim, którzy są aresztowani, a także jeńcom wojennym. Organizuje on armię polską, aby razem z Armią Czerwoną prowadzić wojnę przeciw Niemcom. „Od dzisiejszego dnia jesteście naszymi przyjaciółmi, ale co winniście zrobić? Należy podpisać zgłoszenie do wojska polskiego lub radzieckiego, kto nie podpisze, zostanie tutaj”. Podpisałem więc zgłoszenie do wojska polskiego. Miałem 19 lat. Aresztowano mnie w Kowlu 22 czerwca 1940 roku, a wypuszczono chorego z tajgi we wrześniu 1941 roku. Jechało nas 200 osób – rekrutów do wojska polskiego, aż do Kujbyszewa. Komendant miasta serdecznie nas powitał i życzył nam zwycięstwa nad wrogiem. Z wczorajszych najgorszych wrogów staliśmy się obecnie dla Rosjan najlepszymi przyjaciółmi. [...] Pojechaliśmy do Buzułuku, gdzie mieścił się główny sztab Wojska Polskiego. [...] Zostałem zarejestrowany i posłano mnie do Stoczka. Przydzielono mi kwaterę w baraku, rano przyniesiono chleb i coś do chleba. Przed śniadaniem padł rozkaz: „Do modlitwy wstań”. Dobrze pamiętałem ze szkoły jak się modlono i nie chciałem się odróżniać. Uczestniczenie Żydów w modlitwie, w której mówiono: „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” było surowo zabronione przez rabinów. Wolno nam było tylko śpiewać „Kiedy ranne wstają zorze”. Dziś już nie pamiętam jak się wtedy modliłem. Byłem tak osłabiony, że nie mogłem stać na nogach, więc siedziałem i patrzyłem z zazdrością jak inni chłopcy szli na ćwiczenia. Za kilka dni wezwali mnie na komisję. Byłem bardzo chudy i całe ciało miałem pokryte wrzodami. Otrzymałem kategorię D, czyli odroczenie. [...] Była jesień, a nie było komu kopać kartofli, bo wszystkich mężczyzn zmobilizowano na wojnę z Niemcami. Kołchoźnice poprosiły polskie wojsko o pomoc przy kopaniu kartofli. Nasi dowódcy wysłali tych, co nie nadawali się do ćwiczeń. [...] Brygadier powiedział, że każdy kołchoźnik może sobie wybrać jednego Polaka do roboty. Wszystkich zabrali, tylko mnie nikt nie chciał, więc zostałem sam. Byłem tak wycieńczony, że nie mogłem stać na nogach, siedziałem więc na jakimś pniu czy kamieniu i czekałem co ze mną będzie. Aż tu podchodzi do mnie brygadier i mówi po rosyjsku: „słuchaj młody chłopcze, ja widzę że nikt ciebie nie chce wziąć do swego domu. Ja wezmę ciebie do siebie”. I zaprowadził mnie do swego domu. Miał on jedną najstarszą córkę i dwóch młodszych synów. [...] Moi gospodarze byli narodowości mordwińskiej i na ścianach mieli obrazy świętych. Każdego rana modlili się. Nie wiem w jakim języku, bo modlili się po cichu. A ja nie miałem innego wyjścia i też się z nimi modliłem. Dobrze, że znałem z dawna pacierz, bo z polskimi kolegami nieraz z ciekawości chodziłem do kościoła. Podobała mi się panująca w nim cicha atmosfera, kontrastująca z głośnymi modlitwami w bożnicy. Dobrze zapamiętałem też niektóre pieśni śpiewane w kościele i znałem pacierz. Chcąc zrobić przyjemność moim gospodarzom modliłem się z nimi po polsku. Wówczas miałem wątpliwości, że to może być grzech, ale obecnie wiem, że nim nie był. [...] Wierze, że Pan Bóg patrzy na serce i można się do niego modlić w różnych religiach i językach. Ci prości ludzie tak mnie przyjęli, że czułem się u nich jak w swoim rodzinnym domu. Oni mnie uratowali, bo mój organizm był na wykończeniu. Starali się mnie karmić wszystkim co mieli najlepsze. Dawali mi jajka, cebulę, marchew, arbuzy. Gospodyni była dla mnie drugą matką, mówiła: „synku, nie wstydź się, rozbieraj się, pójdziemy do łaźni parowej”. Nacierала mnie zsiadłym mlekiem i czymś tam jeszcze i tym wyleczyła mnie z wrzodów. Byłem bardzo zadowolony, a oni również cieszyli się bardzo gdy widzieli jak goją się moje rany. Nie mogłem jednak jeszcze chodzić do pracy, co należało do powinności wszystkich radzieckich ludzi, myślałem więc w jaki sposób mogę się im odwdziaczyć i w końcu znalazłem rozwiązanie. Poprosiłem mojego gospodarza, żeby mi przyniósł wikliny, to ja będę pleść kosze na kartofle. Siadłem więc i plotłem te kosze, a po ich sprzedaży poprawiła się moja i gospodarzy sytuacja finansowa. Poprosiłem moich gospodarzy, żeby napisali list do mego brata i siostry, którzy w 1940 roku pozostali w Siewierskim Zawodzie, z którymi od dnia mojego wyjazdu nie miałem żadnego kontaktu, a minęło prawie 2 lata. Siostra po otrzymaniu wiadomości że żyję, przyjechała jak najszybciej do kołchozu. W tym czasie mój paszport pozostał u polskich władz wojskowych. Poprosiłem brygadiera o urlop zapewniając go, że wrócę. Ten dał się przekonać i

otrzymałem przepustkę na 14 dni. W taki sposób siostra wykradła mnie z kołchozu i z wojska i razem wróciliśmy za Ural. Z siewierska nie miałem już gdzie indziej ani do kogo jechać. Byłem bez dokumentów sowieckich, ale mąż siostry zaprosił kierownictwo NKWD, dał im wódki, a potem mówi: „zdiełajcie paszport dla tego młodzieńca”, a gdy naczelnik stwierdził, że nie można, bardziej pijany zastępca przekonał go, że można mi dać paszport na 3 miesiące. Z powodu braku mężczyzn powołanych na wojnę, przyjęto mnie bez problemów do dawnej fabryki, tylko na inny wydział. Tam pracował mój brat na stanowisku elektryka i mógł mi pomagać w pracy. Pracowałem jako ślusarz-mechanik w dzień a wieczorami chodziłem na różne kursy doształcające. Jako dobry robotnik zostałem uznany za stachanowca. Do Komsomołu za pierwszym razem mnie nie przyjęto, bo powiedziałem, że mój ojciec miał olejarnię. Komisja to podchwyciła mniemając, że był fabrykantem i mnie jako klasowo obcego elementu do Komsomołu nie przyjęto. Dopiero w drugim miejscu, gdy już zostałem nauczony by im mówić, że cała moja rodzina była robotnikami, okazałem się Komisji klasowo bliskim, nadającym się do młodzieżowej przybudówki komunistycznej partii. [...] Kiedy w 1944 roku została oswobodzona od Niemców Wschodnia Ukraina, brat z siostrą wyjechali, a ja zostałem na miejscu. 9 Maja 1945 roku świętowaliśmy dzień zakończenia wojny, ale wiele kobiet płakało, że ich najbliżsi, którzy zginęli, nigdy już nie powrócą do domu. Wiedziałem, że Polska została oswobodzona, ale powracający z wojny żołnierze mówili, że jako Żyd nie mam tam po co jechać, bo wszyscy Żydzi zostali zgładzeni przez Niemców. Niektórzy z nich widzieli na własne oczy niemieckie obozy koncentracyjne. Ja w to jednak nie mogłem uwierzyć. Nie mogłem pojąć, aby można było bez powodu mordować niewinnych cywilów. Co prawda w czasie wojny pisałem listy do Żółkiewki, na które nikt nie odpowiadał, ale jeszcze wtedy nie znałem powodów tego milczenia. Zacząłem się starać o wyjazd do Polski, ale mówiono, że nie mam żadnych dokumentów świadczących o tym, gdzie się urodziłem i że pochodzę z Polski. Przekonywano mnie żebym pozostał, że zostałem zwolniony z wojska, że jestem komsomolcem, kandydatem do partii, mam skierowanie do Instytutu Mechanicznego aby uczyć się na inżyniera, że mam ładną dziewczynę, lecz nie zdołali mnie skłonić do pozostania w ZSRR. Napisałem do polskiego konsulatu w Moskwie, skąd po długim czasie przyszło zaświadczenie, że urodziłem się 2 stycznia 1921 roku w Żółkiewce i to dało mi prawo powrotu do Polski

Data i miejsce nagrania	2000-07-27, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"